

Wychodzi dwa razy dziennie

z wyjątkiem niedziel
rano o godz. 7 1/2 i popołudniu o godz. 3.

Prenumerata we Lwowie:

miesięcznie	1 zł. — ct.
z dostawą do domu	1 „ 20 „
z dwukrotną dostawą do domu	1 „ 30 „

Prenumerata na prowincyi:

miesięcznie	1 zł. 10 ct.
kwartalnie	3 „ 30 „

z dwukrotną wysyłką:

miesięcznie	1 zł. 35 ct.
kwartalnie	4 „ — „

Nakładem Spółki wydawniczej we Lwowie, Stow. zar. z ogr. poręką

WYDAWCA: STANISŁAW SZCZEPANOWSKI.

Adres „Słowa Polskiego”: Lwów, ul. Karola Ludwika 13, Telefonu Nr. 402.

Prosimy o rychłe odnowienie prenumeraty celem uniknięcia przerwy w dalszej przesyłce dziennika.

Warunki prenumeraty wyżej.

Wszyscy nowi prenumeratorowie otrzymają początek opowiadań historycznych Stanisława Schnür Peplowskiego p. t.: „Legionści”, ilustrowanych portretami, które do sobotniego numeru, jako bezpłatny dodatek, dodajemy.

Nadto prenumeratorowie *Słowa polskiego* mają prawo otrzymać:

Echo muzyczne, teatralne i artystyczne
wydawane w Warszawie,
po 1 zł. 86 ct. kwartalnie, zamiast ceny zwykłej 4 zł 50 ct., z ułatwieniem uiszczania przedpłaty miesięcznie we Lwowie po 62 ct., na prowincyi 72 ct.

MODY PARYSKIE
najtańsze pismo dla kobiet, zawierające wielkie tablice krajów, oraz dodatki powieściowe i nutowe, kwartalnie tylko za 90 ct., półrocznie 1 zł. 80 ct.

Kraj w obrazach
zbiór fotodruków,
przedstawiający widoki naszych miast, okolic, zabytków starożytności, dzieł sztuki, wydawanych przez K. Woźniaka w Warszawie, w zeszytach, z 8 widokami, po wyjątkowej, dla naszych prenumeratorów, cenie, za zeszyt 40 ct., z przesyłką 45 ct.

Pierwsza seria obejmuje 12 do 15 zeszytów.

Lwów 10 sierpnia.

Straszna, dawno niebywała klęska powodzi dotknęła Czechy. Szkoły w zniszczonych ziemopodach, w zepsutych drogach, pozrywanych mostach zburzonych od powodzi domach — są nieobliczalne.

Powódź nie robiła różnicy między narodowościami. Spadła ta klęska zarówno na czeskie, jak niemieckie, jak i mieszane powiaty. Nie pytała o „język urzędowy”. Zabierała plony i bydło i domy zarówno Czechom, jak Niemcom. Nikomu nie stała się krzywda, bo wszyscy zarówno nieszczęściem zostali dotknięci.

Ala gorszą może klęską od powodzi jest to rozdrażnienie, gorzej niż rozdrażnienie, bo wręcz nieprzyjacielskie zawzięcie się Niemców a Czechów, jakie już blisko od pół roku w kraju tym panuje, coraz większe przybierać rozmiary, coraz szersze obejmując kółła. Od drobnych aż do bardzo doniosłych spraw — to zaciętrzenie objawia się codziennie. Mniejsza by było o zajścia nierzeczne. Tu garstka Czechów, na jakąś „sławną” spieszającą zostaje zniżoną przez Niemców — tam znowu Niemców groźną, na „Fest” ciągnącą dozna podobnej napaści od Czechów. Tu Czech Niemcowi usiuguje zdręźce odznakę jakiegoś „Vareinu” — tam znowu jakiś mały hutlak zelży czeski mundur sokolski. Powstają zjadłby, potłuczone szyby i guzy na czołach. Zdarzają się takie zajścia

wszędzie, gdzie między dwiema narodowościami, jeden kraj zamieszkującym, roznieci się zarzewie niezgody. Bywały i w Czechach zajścia tego rodzaju, ale teraz zdarzają się one częściej, zwracając więcej uwagi i są niebezpieczniejsze. Co przy innem usposobieniu umysłów nie miałyby znaczenia, to wśród tak silnego i powszechnego rozdrażnienia, może łatwo stać się iskrą, rzuconą na prochy.

Ala nie koniec na tych zajściach ulicznych, które mogą ale nie muszą doprowadzić do większych awantur. Są inne objawy, w skutkach swych donioślejsze. Bojkotowanie obustronne dochodzi do wzajemnego wypowiadania pomieszkani, wydalenia robotników i sług drugiej narodowości. W stosunki ekonomiczne wprowadza się w ten sposób nieekonomiczny czynnik nienawiści; stosunki społeczne, w których i tak już za dużo kwasu, jeszcze się gorzej zakwasza.

W chwili takiego, coraz rosnącego rozdrażnienia, spada na kraj klęska powodzi — sprowadza ogrom nieszczęść zarówno na Niemców jak i Czechów. Wspólnosć nieszczęścia — zacycycają łagodzą poważnione strony. Zdawałoby się, że może i tutaj skutek się taki okaże, że przynajmniej w tej chwili strony się jakoś zbliżą do siebie, że nastąpi choćby chwilowe tylko zawieszenie broni i porozumienie przynajmniej co do środków, jakieby wspólnie przedsięwzięć należało, ażeby skutki klęski złagodzić i ulżyć niedoli ludności, klęską dotkniętej. Tymczasem, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, stało się inaczej. Czeszy postawili osobno a Niemcey osobno radzą nad położeniem, przez klęską stworzonym, nad środkami, jakieby przedsięwzięć należało — osobno jedni a drudzy czynią u rzadu kroki, celem wywołania państwowej akcji w sprawie, cały kraj bez różnicy obchodzącej. *Res sacra miser* — a w tym wypadku tem bardziej, że ten *miser* to cały kraj czeski, to obie zamieszkujące go narodowości i nawet wobec tej *res sacra* nie chcą zamknąć spory, nie może zaprowadzić zgoda, nie może dojść do łącznego działania. Kwiat inteligencji tego kraju, bo przywódcy obu stronictw, nie potrafili wznieść się w tej sprawie na prawdziwie wyższe stanowisko, i zamiast krajowej, partyjną rozwijając działalność, ażeby z niej wyciągnąć jak największą korzyść nie dla kraju, ale dla stronictw, z których każde chciałoby się pochwalić, że lepiej od przeciwnika opiekuje się dotkniętymi klęską, że więcej dla nich uzyskać potrafi.

Charakterystycznym, pod tym względem, jest zgromadzenie komitetu wykonawczego niemieckich posłów z Czech, odbyte 8 b. m. Sprawę pomocy dla dotkniętych powodzią — połączonej jednym porządkiem dziennym za sprawą politycznego położenia Niemców w Czechach i ich dalszego postępowania. Uchwalono więc domagać się wydanej akcji ratunkowej ze strony rządu i kraju — a równocześnie uchwalono „oburzenie” z powodu protestu Młodoczechów przeciw ukłowski czeskich mniejszości w okręgach mieszanych, uchwalono wytrwać w opozycji przeciw rządowi i dążyć do zjednoczenia w tej opozycji wszystkich bez różnicy Niemców czeskich. Sprężenie tych dwóch spraw — równocześnie, jednym tchem wypowiedziane żądanie pozytywnej akcji i zapowiedź dalszej walki na noże — godne jest tych, którzy niedawno wzięli sobie za zadanie niedopusić do tego, żeby parlament mógł spełniać ciężące na nim obowiązki. Zły to wszystko prognostek dla akcji ugodowej, o której jeszcze zawsze od czasu do czasu coś się słyszy — i dla zapo-

wiadanego zwołania Sejmu czeskiego na wrzesień Jeżeli te strumienie wody, jakie niebiossa spuścił na rozgorączkowane głowy walczących, nie ostudziły ich zapala, a wspólne nieszczęście nie doprowadziło, choćby tylko do chwilowego zawieszenia broni — to chyba nie wielka nadzieja, aby w sprawie językowej czy to w Sejmie, czy poza nim do porozumienia dojść mogło.

To też *N. fr. Presse* w dniu, w którym odbywało się zgromadzenie opozycyjnego komitetu wykonawczego — powtórzyła znowu starą piosnkę, że nie tylko o porozumieniu, ale nawet o samem rozpoczęciu jakichkolwiek rokowań, póty nie może być mowy, póki rozporządzenia językowe nie będą cofnięte. I zdaje się, że toż same stare hasło zostało wydane w Pradze. Wiedzą doskonale, że to warunek niemożliwy, że w razie cofnięcia rozporządzeń, Czesi chwyciliby się takiej samej obstrukcyjnej metody, jaką praktykują Niemcy. Wiedzą zresztą, że i rząd sam rozporządzeń ani cofnąć, ani zmienić nie może inaczej, jak tylko po porozumieniu się obu stron i na ich zgodę. Jeżeli mimo to powtarzają ten niewykonalny warunek, to rzecz prosta, że nie chcą rokowań, nie chcą porozumienia. I jest to zupełnie zrozumiałe. Wszak kapelmistrzem w tym opozycyjno-obstrukcyjnym koncercie jest p. Schoenerer — a dla niego i dla tych wszystkich, których sztafeta i hasłem jest „*die Wacht am Rhein*” — porozumienie jest bardzo niepożądane. Im trzeba walki nieustannej, potęgającej się walki bo spodziewają się, iż przez tę walkę spreparują Niemców austriackich dla *Reichu*.”

Wiadomości polityczne.

Kongres międzyparlamentarny. Otrzymujemy następującą wiadomość z Brukseli: Na kongresie tym, odbywającym się w Brukseli, reprezentowane są wszystkie parlamenta Europy i Ameryki północnej po raz pierwszy. Prezydentem kongresu wybrano prezydenta belgijskiej izby deputowanych. W przeddzień otwarcia kongresu, prezydent i żona jego, przyjmowali delegatów w gmachu parlamentu. Z Polaków obecni byli posłowie: Włodzimierz Gniewosz i prof. Roszkowski. Obrady potrwały do 11 sierpnia. Przemawiali w dniu 6 sierpnia panowie: Fonteneau, minister spraw zagranicznych, senator francuski Fryderyk Passy, poseł do angielskiej izby gmin Stanhope, Niemiec Hirsch itd.

Pan v. Köller Kiedy na jesień 1895 roku pruskie ministerstwo obradowało nad wójskową procedurą karną tylko dwóch ministrów głosowało przeciwko charakterowi publicznemu procesów wojskowych. Jednym z nich był strogi pan v. Köller, który niedługo potem wskutek niedyskrecji i niekoleżeńskich postępowania musiał ustąpić, ku wielkiemu żalowi Wilhelma II, którego Köller był kreaturą. Obecnie, po ustąpieniu dwóch swych wrogów Marschalla i Boettichera, Köller mianowany został prezydentem prowincji Schleswig; nominacya ta z tego względu ma polityczne znaczenie, że z okazji jej odwołano zakulisowe intrzygi w sferach rządowych. Na stanowisku nowem ten bezwzględny reakcyjnista mniej będzie szkodliwym, aniżeli mógłby nim być jako minister.

Mimo to nikt w Schleswigu nie pragnął sobie zwierzchnictwa surowego tego urzędnika, — który Duncezykom dobrze da się we znaki. Po licznych zmianach, jakie zaszły w ministeriach berlińskich Rzeszy i Prus,

w ostatnich miesiącach, na korzyść zapędów reakcyjnych, wydaje się, że nominacya p. Köllera prezydentem Schleswigu jest pierwszym krokiem na drodze powrotu jego na stanowisko ministra spraw wewnętrznych — co stać się może jeszcze przed przyszłymi wyborami do Sejmu i Parlamentu, jeżeli p. Roewe uzna potrzebę „odpoczynku”.

Miniona sesja parlamentu angielskiego. Zamknięcie angielskiej Izby gmin dokonaniem zostało w dniu 6 bm. W mowie tronowej zaznaczono, że „serdeczne stosunki W. Brytanii do wszystkich innych państw pozostały niezmiennione. Szczęśliwie, które podpisały uchwały kongresu berlińskiego, starały się usilnie o to, aby odwieść króla greckiego od wojny z Turcją. Ażkolwiek usiłowania te okazały się bezskuteczne, udało się mocarstwom doprowadzić do zawieszenia broni i do rozpoczęcia rokowań pokojowych. Pokój jeszcze nie jest podpisany formalnie, ale wolno spodziewać się, że wszelkie ważniejsze kontrawersje uregulowane zostaną, a dzięki dostatecznemu odszkodowaniu wojennemu, zwrócony zostanie Grecji cały kraj okupowany przez Turków — z wyjątkiem nieznacznej skrawku”. W dalszym ciągu mowa tronowa wzmiankuje „bliskie znieśnienie traktatów handlowych z Niemcami i z Belgią, które zaważyły Anglii na drodze reformy dotychczasowych fiskalnych stosunków Anglii do kolonii. Jubileusz królowej przyczynił się do ściśnienia węzłów łączących kolonie z Anglią. Królowa wyraża w końcu swe uznanie dla poświęcenia, i skutków jego, z jakim powołane czynniki Indyi zwalczały głód i zarazę”.

Rychłe stosunkowo odroczenie parlamentu starczy za dowód, że liberalno-irlandzka opozycja i dziś jeszcze nie może gabinetowi markiza Salisbury’ego wielkich stawiać trudności — bądź to w polityce zewnętrznej, bądź we wewnętrznej.

Polityka zagraniczna obecnego ministerstwa w przeciągu ubiegłej sesji, ogółem biorąc, mało była zaczepianą w izbie gmin, bo w gruncie rzeczy odpowiadała interesom Anglii. Udzielenie Krecie autonomii i odrzucenie zbyt daleko idących pretensji, jakie Turcy stawiali do pobitej Grecji, przypisać należy głównie staraniom obecnego rządu.

Natomiast przebieg i wynik śledztwa w sprawie najścia Jamesona na Transwal nie przyniosł chwwały gabinetowi lorda Salisbury’ — ale w tej kwestyi odpowiedzialność spada tak samo i na liberalną opozycję. Jest to publicznym sekretem w Londynie, że pan Chamberlain byłby musiał złożyć swą tekę, gdyby opublikowano wiadome telegramy Rhodesa; niektórzy twierdzą — a pewnie i słusznie — że ostatnie liberalne ministerstwo tak b. d. było w tajemniczone w zaborezce zamiary ówczesnego komisarza dla południowej Afryki, lorda Loch, iż liberalni członkowie komisji śledczej nie mogli się odważyć na krytykę pertraktacji toczonych między Chamberlainem i spiskowcami.

W polityce wewnętrznej konserwatywne ministerium głównie dla tego może więcej odnieść skutków pomyślnych, że z góry wystąpiło z ograniczonym bardzo programem. Prawie wszystkie przedłożenia rządowe, zapowiedziane w mowie tronowej z dnia 19 stycznia b. r. zostały przez parlament przyjęte.

Bil żądający udzielenia pomocy dla szkół wyznaniowych zwalczany był wprawdzie namiętnie, ale opozycja zamilkła, gdy rząd

oświadczył gotowość popierania także szkół bezwyznaniowych.

Bil o lepszem odszkodowaniu robotników, który wskutek swych zajęć zawodowych postradał zdrowie, również został przyjęty, chociaż pewien odłam konserwatywnych posłów głosował za nim ze wstrętem lub nieufnością.

Co do kwestyi irlandzkiej ograniczono się na nieznacznej reformie w dziedzinie sądownictwa, która dopiero w roku przyszłym wykonaną być ma.

Zaznaczyć należy także uchwalenie bilu, wzbraniającego dostęp artykułom fabrykowanym w więzieniach zagranicznych.

Oto najważniejsze uchwały ubiegłej sesji. Kwestya budżetu dla Indyi, jak zwykle, mimo nędzy panującej w Indjach — zakończona została bardzo szybko na samym końcu sesji. Niemniej też Anglikom, gdy im się przypomina ich obowiązki względem Indyi — ale, co do zaniebywania obowiązków tych, liberalne i konserwatywne stronictwa nie mają sobie nic do wyrzucenia.

Sądząc z przebiegu ubiegłej sesji, dochodzi się do przekonania, że gabinet konserwatywny wprawdzie nie zyskał na szacunku i powadze, ale nie stracił też nic na sile. Głównym powodem powodem będzie zapewne fakt, że liberalni są za słabi, nie mają wyraźnego programu politycznego, ani też zdolnego, energicznego wodza.

KORESPONDENCJE.

(Oryginalny list „Słowa Polskiego”).

Paryż, 4 sierpnia.

Rozdanie nagród w szkole Batignolles.

Dnia pierwszego sierpnia r. b. odbyło się w szkole polskiej na Batignolles w Paryżu rozdanie nagród. Prezes rady szkolnej dr. Ksawery Gałęzowski, po odśpiewaniu przez uczniów hymnu „Boże coś Polskę” powitał gości — i pochwiliom młodzieży szkolnej sukcesów, odniesionych w Lyceum Condorcet, w kolegium Chaptal i w szkole handlowej.

Potem zabrał głos radca szkoły p. Eugeniusz Kerytko, którego gorące i patriotyczne przemówienie do rodziców i do dzieci było przerywane oklaskami.

Dalej dyrektor szkoły p. A. Stępiński, zdał sprawę z prac rocznych i podał wiadomość o nowo utworzonej przez radę szkolną stypendy, przeznaczonem dla uczniów wychodzących ze szkoły polskiej na Batignolles i kształcącej się mających w wyższych zakładach specjalnych. Stypendy utworzone z funduszu donacyjnych nosi imię „Seweryna Gałęzowskiego”. W tym roku, stosownie do artykułu czwartego statutu, dwaj uczniowie: Sawczyk Józef, student weterynaryi w Tuluzie, i Czernik Wojciech, student szkoły drog i mostów w Paryżu, otrzymali powyższe stypendy.

Po sprawozdaniu dyrektora uczniowie deklamowali poezję J. Krasińskiego, K. Gałęzowskiego, A. Mickiewicza, Wincentego Pola, K. Balińskiego.

W końcu przystąpiono do rozdania nagród.

Szkola otrzymała w Lyceum Condorcet, w kolegium Chaptal i w szkole handlowej 61 nominacji: to jest 11 nagród i 50 pochwał. Pomiędzy najczęstiej wymienianymi byli następujący uczniowie: Kajetański, Iwanowicz, Węgrzyn, Szeplowski, Dygat, Rybicki, Ko-

17
K. Rojan
SZCZĘŚCIE.
POWIEŚĆ.
(Ciąg dalszy).

Tarczyński służył swego czasu wojskowo i wówczas to bawił się, hulał, nadszakał kobietom i zaciągał długi. Jako rotmistrz konnicy, lubiany zresztą ogólnie, musiał wskutek licznych skarg wierzycieli i nieszczęśliwego pojedynku ustąpić z szeregow.

Troskliwi krewni popłacili długi i wystarali mu się opasać w powstającym Towarzystwie przemysłowo-rolniczem, o posadę taką, którąby, zapewniając mu byt, nie obciążała jego ładnie uczesanej głowy nadmierne. Ila-dowiecki, walcząc na wstępie z przerożnemi przeciwnościami, musiał rad nie rad gościć się na niektóre niezbyt miłe warunki, stawiane przez bierną a wpływową grupę członków Towarzystwa, a więc między innymi także na zamianowanie Tarczyńskiego zastępcą dyrektora.

Przyjąwszy jednak raz tę konieczność, pogodził się z nią i odtąd uważał swego zastępcę za figurkę malowaną, którą trzeba było od czasu do czasu czemś zabawić, raz dlatego, by nudząc się, nie przeskądzała mu w pracy, powtórę, by sama ludzka się pracy pozorami.

Tarczyński był zatem w biurze Andrzeja ucielesnionym obrazem ustępstw składanych niestety tak często na ołtarz stosunków, koligacji i potężnego kapitału.

Zresztą ten malowany dygnitarz nikomu w biurze nie zawadzał. Był uprzedzająco grze-

czny, w miarę dowcipny, spokojny, przychodził późno, odchodził wcześniej, czytał gazety i listy bardzo uważnie, odpisywał na niektóre lepsze korespondencje nader strannie, zaciągał kolorowe ołwki wymiennie, czytał pazo-nocnie, palił dobre cygara i nie mieształ się wcale do postanowień Andrzeja.

To też nie dziwnego, że na zadane sobie pytanie: „i coż nowego?” — odpowiedział spokojnie: „nie”.

Tymczasem, gdy prawdziwy dyrektor począł przegłądać z uwagą stos owego „nie”, zauważył, że tydzień przerwy w urzędowaniu nagromadzić może tyle zaległości, iż pierwszego dnia prawie nie podobna wszystkiego od-czytać.

Niektóre listy ze znajczkami angielskimi, leżały nawet nieotwarte na biurku; widocznie za-cy zastępca z góry był przekonany, że nie tylko nie potrafi na nie odpowiedzieć, ale poprostu ich nie zrozumie.

Andrzej, rozrywając zatem gorączkowo jedną kopertę po drugiej, przebiega szybko oczyma treść listu, znaczący na okładce kilka słów i spieszy dalej. W przerwach, to uśmiechnie się wesoło, to przeciągnie metalowym ołwkiem po buncznych włosach to zatrzęsie głową niezadowolony.

— Masz sobie! — woła podczas czytania jednego z listów i dodaje po chwili: — Bez-celność godna lepszej sprawy!

— Co tam takiego? — zapytuje Tarczyń-ski, przybierając urzędowy wyraz twarzy.

— Bajdaczewski pyta, czy zakupimy u niego rzepak...

— Sądze, że zakupimy — odpowiada Tarczyński z powagą.

— Jest to ten sam obywatel — objaśnia go Andrzej, — który zeszłego roku domio-

szal do rzepaku piasku dla zyskania na wadze.

— O! — zadziwił się Tarczyński.

Straciłszy przeto jedną z najlep-szych firm niemieckich, która w dodatku od-pisała nam, że rzepak nasz popsuł jej kosztow-ne maszyny i fabrykę na nieobliczalne na-raził straty. Dlatego zrywa raz na zawsze stosunki z naszym towarzystwem.

— Aaaa! — zawołał Tarczyński oba-rzony.

Andrzej doczytawszy list do końca, po-myslał:

— Ten Bajdaczewski jest szwagrem pana adwokata Dola, jednego z najbardziej wpły-wowych członków, więc sądzi, że pod osłoną mecenasowskich skrzydeł, wolno mu grać z Towarzystwem w ślepą babkę. Za pozwoleniem! Daleko zaszliśmy po tej drodze... Wyplenić kół! — syknął przez zaciśnięte zęby — wyrwać korzeń chwastu doszczętnie! inaczej nigdy się nie zdźwigniemy w oczach Zachodu.

Potem nakreślił ołwkiem na liście: „Od-pisać: Wobec zeszłorocznego wydarzenia, nie przyjmujemy żadnych zgłoszeń...”

W dwie godziny później już stos listów rozdzielony był między czterdziestu pracow-ników i nowe pióra krajowego wyrobu poczęły biegać nerwowo po papierach.

Teraz przyszła kolej na „słówko”.

Z uderzeniem godziny jedenastej kilku naraz interesantów wpadło do gabinetu Andrzeja. Tarczyński usunął się grzecznie do swego pokoju i ujął gazetę do ręki.

Obecnie dopiero rozpoczęła się dla Andrzeja praca na dobre.

Poczęli ziemianie, z ogorzalemi twarza-mi a pustkami w kieszeni, przychodzili sprze-

dawać zboże na pniu. Każdy potrzebował pie-niędzy „na gwałt”. Młody dyrektor słucha za-tem cierpliwie wyrzekan na złe czasy, wstrząsa głową na znak współczucia i w końcu tłumaczy każdemu z osobna, jak w tym a w tym wypadku postąpić należy. Nie zawsze jednak trafiają mądre jego i jasne słowa do przekon-ań zatwardziałych, niekiedy musi młody dy-rektor chwycić za łopatę i przy jej pomocy nałożyć do pustej głowy garść niezbędnych w danej sprawie wiadomości, ugnieść je i jeszcze trochę ddać...

Poczęliw interesant słucha... słucha... kiwa poważnie napężnionym po same brzozi czerепem i wreszcie powiada naawnie, że jeszcze nie rozumie!... Wówczas niezmordo-wany dyrektor uśmiecha się i wytrząsa z aniel-skiej cierpliwością z czaszki to, co w niej było trudnego do zrozumienia i rozpoczyna nakła-danie łopatą na nowo.

Przed pierwszą pukanie wreszcie ustaje. Andrzej odetchnął. Spojrzał na zegarek i przy-pomniał sobie, że w domu oczekuje go Halka z pierwszym obiadem, t. j. sławną babką, wykonaną według przepisu cici Michalew-skiej.

— Słodka ptaszyna! — powiada i patrzy powtórnie na zegarek. — No, za dziesięć mi-nut pierwsza... można dziś wyjątkowo pójść o dziesięć minut wcześniej do domu.

Wstaje, kłania się i woła donośnym gło-sem:

— Do widzenia, moi panowie.

Ogólne poruszenie, żoskot odsuwanych krzesel, ukłony.

We drzwiach mieszkania państwa Rado-wieckich spadają Andrzejaowi na szyję ramio-na żony i ciągną go ku sobie.

— Ach, mężulku mój!... rok cały nie wi-działam cię!

Słowom tym towarzyszy gorący uścisk i długi pocałunek.

Potem przechodzą młodzi małżonkowie do jadalni i zasiadają do stołu, na którym lśnią się srebra, rznięte czeskie pubarki i szklanki, pobłyskują nowiutkie talerze o prze-szlanych wzorach. Helena zapowiada, że obia-dek opóźni się cokolwiek, gdyż nowa kucharka, bawiła bardzo długo „niepotrzebnie” w miescie. Nic to jednak nie szkodzi, pogwa-rza sobie przed obiadem. Pogadanka trwa dość długo, wreszcie może po godzinie cier-pliwego oczekiwania, wnosi kucharka na ni-klowanej tacy wąż z rosołem.

Helena sięga po srebrną chochlę i z wdzie-kiem sobie właściwym, nalewa męzowi rosołu na talerz. Kształtna jej rączka bujająca swo-bodnie w szerokim rękawie, widoczna aż po-łokieć, białutka, ozdobiona dotkami, nie po-zwala męzowi myśleć o marności tego świata zwanej rosołem. Lecz w końcu spojrzął on na tę marnosć, spojrzął na nią także Helena i — zdziwili się oboje. Bo też niezwykłej barwy był ten rosoł. Przecież, jak pogodne niebo, chlubił się widocznie swą zaprawą, to jest, ryżem, którego ziarenka wprawione żyłką w ruch, natychmiast osiadały na dnie talerza — tylko kilka złotych oczek szymbowało po przejrzyściej powierzchni płynu, objaśniając przykładowo teorya *La Place’a* o grawitacji ciał niebieskich.

Andrzej, znając teoryę wielkiego, myśli-ciela na palcach, zanurzył koniec łyżki w pa-pryce, zburił obraz ciał niebieskich na tale-rzu, dodał nieco pieprzu i soli i poczęł zaja-dać potrawę z wielkim smakiem.

(C. d. n.)

Krawaty, Bekawiczki, Kapelusze, Parasole, Kalesze, poleca w wielkim wyborze M. LUDWIG, Lwów, Akademicka 1. 3.

